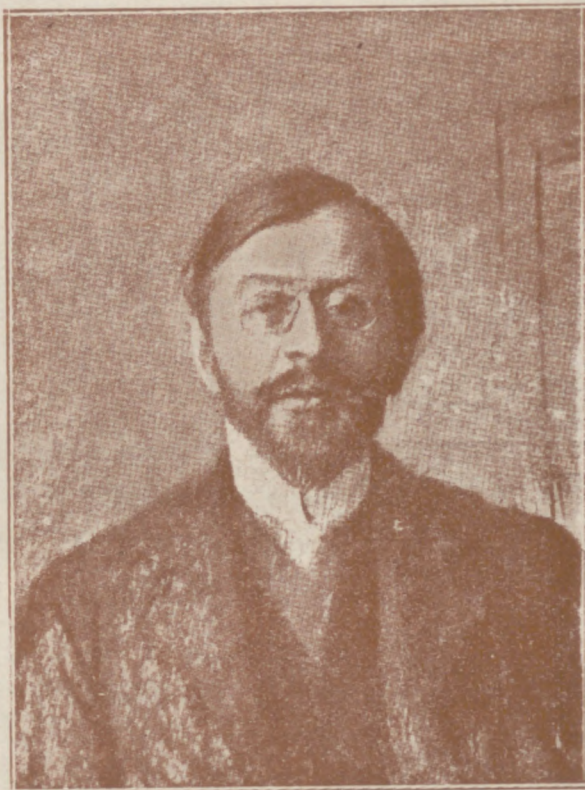


ŚWIAT KULIS



Wyczółkowski: portret Adolfa Nowaczyńskiego

WYDAWNICTWO TEATRÓW MIEJSKICH
NAKLADEM BIURA OGŁOSZEŃ „PAR“

SKŁAD BŁAWATÓW

A. Werwicki

Poznań, Stary Rynek 71/72

Telefon 56-64

Poleca w wielkim wyborze
po cenach konkurencyjnych:

MATERJAŁY

welniané — bawelniane i jedwabne
na kostjomy suknie — płaszcze itp.

Plótna Inlety — Zefiry — Muśliny

Perkaly — Podszewki

SPECJALNOŚĆ: Stołowizna — Firany

W ZELKIE NOWOŚCI SEZONOWE

STALE NA SKŁADZIE



Przezorna
Pani Domu
kupuje
herbatę, kawę,
kakao, cukier-
ki tylko w fir-
mie
F. Kupczyk
Własna wytwór-
nia cukiérków
POZNAŃ
Stary Rynek 44
Wejśc. z Woźnej

Trzymaj się prosto!!



„SASZA”

Ściągacz ramion, lekki, praktyczny w no-
szeniu i tani. Dla ludzi pochyłych nie-
zbędny. Cena 9 — zł, wysyła za pobra-
niem. Przy zamówieniach proszę o podanie
szerokości plec.

B. PRUSIEWICZ

Poznań, Młyńska 9 b.

„SPLENDID”

ul. 27 Grudnia 10

Wytworny lokal kabaretowy

Dancing — Bar

W każdą niedzielę i święto

Five o' clock Tea

Bank Przemysłowców Sp. Akc.

Rok założ. 1861.

w Poznaniu

Rok założ. 1861.

Centrala: Poznań, Stary Rynek 73/74.

Oddziały: Kalisz, Katowice, Łódź, Rybnik, Toruń, Warszawa,
Berlin, Bytom

Przyjmuje wkłady oszczędnościowe na korzystnych warunkach,
oprocentowując je według umowy.

ŚWIAT KULIS

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM TEATRALNYM

WYDAWNICTWO TEATRÓW MIEJSKICH W POZNANIU

Nakład Biura Ogłoszeń „PAR“ Poznań, Aleje Marcinkowskiego nr. 11 i 27 Grudnia nr. 18

BYDGOSZCZ KATOWICE KRAKÓW LWÓW TORUŃ WARSZAWA
Dworcowa 72 Poprzeczna 8 Rynek Gl. 46 Akademicka 14 Szeroka 46 Bracka 17

ROK I.

ZESZYT 18

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

T E A T R

(LIST POETY Z BAD-HALL Z 6. VIII. 1904 R. DO ADAMA CHMIELA)

I CIĄGLE WIDZĘ ICH TWARZE,
USTAWNIE W OCZY ICH PATRZĘ —
ICH NIEMA — MYŚLĘ I MARZĘ,
WIDZĘ ICH W DUSZY TEATRZE.

TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY,
WIELKIE POWIETRZNE PRZESTRZENIE,
LUDZIE JE PEŁNIĄ I CIENIE,
JA JESTEM GRZE ICH PRZYTOMNY.

JAK SZTUKA JEST SZTUKĄ MOJĄ,
MELODYĘ SŁYSZĘ CHORALNĄ,
JAK ROSNĄ W BURZĘ NAWALNĄ,
W GROMY I WICHRY SIĘ ZBROJĄ.

W GROMACH I WICHRZE SZALEJĄ
I GASNĄ W GROMACH I WICHRZE, —
W MROKU MDLEJĄCE I CICHSZE, —
JUŻ LEDWO, LEDWO WIDNIEJĄ —
ZNÓW WSTAJĄ — WRACAJĄ OGROMNE
OLBRZYMIE, ŻYJĄCE — PRZYTOMNE.

GRAJĄ — TRAGEDJĘ, ZWAD DUSZY,
W TRAGICZNYM TEATRU SKŁONIE,
ŻAR ŚWIĘTY W TRÓJNOGACH PŁONIE,
I FLET ZAWODZI PASTUSZY.

JA SŁUCHAM, SŁUCHAM I PATRZĘ, —
POZNAJĘ ZNANE MI TWARZE, —
ICH NIEMA — MYŚLĘ I MARZĘ,
WIDZĘ ICH W DUSZY TEATRZE!

AUTOR „WIOSNY NARODÓW“ I AKTORZY

Historja literatury będzie mówiła o sztukach A. Nowaczyńskiego osobno, historja teatru osobno. Po pierwsze, jego dramatyczne kroniki są odrębnymi dziełami sztuki w książce, odrębnymi na scenie, a to nie tylko dlatego, że się je mocno przycina, aby w wieczór teatralny się zmieściły i z poza rampy pokazują zupełnie inne wartości, niż w czytaniu. Jeszcze ważniejsze jest to, że dały one wielkim aktorom materiał do wielkich kreacji i dlatego wejdą osobno, z drugiego tytułu, w ten rozdział historji teatru, który o wielkich aktorach będzie traktował.

Napisany on jeszcze nie jest. Mimo ogłaszania różnych przyczynków i wspomnień — głównie przez aktorów — nie jest on nawet podszkicowany. Ale gdy do tego ludz e się zabiorą i gdy przyjdzie kolej na pierwsze ćwierćwiecze dwudziestego stulecia, to o sztukach Nowaczyńskiego pomówi się szeroko. Twórca ich znajdzie się w pierwszym szeregu tych, którzy umieli pisać dla aktorów, a nie będzie ten szereg długim. Zastawił on scenę figurami o mocnym, bogatym, a zupełnie oryginalnym rysunku. Są to postacie teatralne w całym znaczeniu słowa. To, co mówią i robią, samo idzie aktorowi w rękę, aby ze słów i sytuacji scenicznych mógł swoimi środkami zbudować żywą figurę, która mówi i działa. Adam Grzymała Siedlecki powiada, że sztuki Nowaczyńskiego są historyczne i zarazem realistyczne. Możliwy o tem szerzej pomówić, ale pewnem jest to, że grać trzeba Nowaczyńskiego jak najbardziej realistycznie, aż do naturalizmu. Im więcej szczegółów, cyzelerstwa, mozajki, tem więcej zbliżył się aktor do doskonałości. U Rostworowskiego np. jest wprost przeciwnie, tam trzeba syntetyzować, upraszczać, rysować wielką linią, tego wymaga monumentalna prostota jego rzeźb. Nowaczyński dał świetne role naszym wielkim realistom i naturalistom szminki, a przejdą one do tej nienapisanej jeszcze i oby także filmowanej — o ile się da — historji naszego aktorstwa.

Niechże przedewszystkiem będzie nakreślony Solski ze swoim Dymitrem i ze swoim Fryderykiem. Co do mnie, nigdy nie zapomnę w „Carze Samozwańcu“ jego bladej jakby wymokłej twarzy pod kołpakiem z ogromną kitą, jego nerwowych kroków i jego latających oczu. Taksamo nie zapomnę jak odbiera przysięgę od bojarów. Dzisiaj — po tylu latach — widzę go, jak każdemu podsuwa krucyfiks do pocałowania i z boku podgląda, czy aby naprawdę całują, czy nie wykręcają się jakim mlaśnięciem w powietrzu. A Fryderyk, ten Fryderyk! Nasz przemysł filmowy rozwija się i rośnie, niedługo powstaną całe archiwa zwitków, na których będziemy mieli tysiąc scen z fałszowanymi apaszami z nad Wisły i drugi tysiąc szarż ułańskich. Co nam po tem, jeżeli nie będzie można w każdej chwili wyjąć z pudełka tego straszliwego zrzedę, kutwę i rozbójnika, aby zobaczyć jak szłapie dragońskimi butami i jak wali kijem w podłogę, rzucając z oczek złe i chytre istkierki.

Grał Fryderyka także Kamiński, drugi majster od szczegółów i od cyzelerury. Tego już na żaden film nie złapiemy — a szkoda. Byłoby to pouczające zestawienie dla tego przyszłego historyka naszych aktorów co to ma się zjawić. Kamiński był więcej „królewski“ — zresztą trochę przeciw historji, do której Solski więcej się zbliżył z swoim ukoronowanym małpoludem. Fryderyk Kamińskiego chodził prosto, miał ruchy powolniejsze i dystygowane. Żmija wylaziła w syku cedzonych słów, w demonicznym sarkazmie, w przewrotności, która przepelniała słowa tak jak ropa przepelnia wrzód. Film przydałby się był dla Kamińskiego oczywiście, ale gramofon jeszcze bardziej.

Chociaż z tymi wielkimi aktorami jest tak, że gdzie tknie, tam chciałoby się ich uwiecznić. Przecież Solski ma we Fryderyku takie intonacje i takie akcenty, że Polakowi pięści się zaciskają. A kłótnia z Ziethenem, ta awantura jedyna w swo-

im rodzaju, a jedna z tych, które pokazują jak efektownie umie pisać na scenę Nowaczyński! Ci dwaj starzy cholerycy żrą się ze sobą jak dwa kundle. Ziethen, chociaż w stosunku do Fryderyka ramol zupełny i trup chodzący, jakby się galvanizował wściekłością, która jedzie od najjaśniejszego wrzaskuna. I on także zaczyna drzeć się jak opętany. Dla aktora, który gra Fryderyka osobnym specjałem jest to, że król z grywa się w tej pasji zupełnie świadomie, podczas gdy Ziethen naprawdę jest wściekły. Jakiś czas obaj chrypią, charczą, zanoszą się od furji i kaszlu, aż w końcu, ledwie zapiąc, o stół oparci, spadają do szeptu prawie. W tej chwili zaczyna ta groteska potrać o tragizm, bo za pierwszym oglądaniem tylko się czeka, kiedy starego Ziethena ruszy apopleksja. Dużo świetnych ról miał niezapomniany Siemiaszko, ale jego Ziethen był godny takiego partnera jak Solski. A gdy o następnym pokoleniu mowa, to Zygmunt Noskowski, nasz poznanski Ziethen, także musi być tutaj wspomniany chociaż to familja. Mocno wziął w ręce ten spadek po Siemiaszce i godnie nim zarządza..

Takich scen i takich ról Nowaczyński aktorom nie żałował. Prawda, że nasz krakowski Sobiesław był jak stworzony na Krasickiego, bo kto drugi miał taką dystynkcję markiza i komu tak delikatnie splywały z warg piękne słówka, — ale też jak jest rysowana ta karykatura mądrego prałata! Michał Tarasiewicz staje

mi znów przed oczyma gdy przypominam sobie „Starościca ukaranego“. Widzę go, jak wytwornie nosi się po scenie i jak mówi, ten nieporównany i nie zastąpiony „mówiciel“. Razem z myślą o „Cyganerji warszawskiej“ zjawia się cień jeszcze przedwcześnie nam zabranego a jak głębokiego Bończy. Jego cichy i rzewny garbusek, który patrzył tak boleśnie, był tak samo i nic nie mniej wart filmu i fonografu jak dwaj Gorgonjusze, z których tylko jeden, prześwietny w rysunku Frenkiel, może się nam zjawić jeszcze in natura. Siemiaszko, również wycięty ze współczesnego drzeworytu, znalazł się już po tejsamej stronie kulis, co Tarasiewicz, Sobiesław i Bończa. . . .

Z „Wiosną narodów“ przybywa znów tych ról, które zapamiętamy. Aktorzy charakterystyczni mają na czem pokazać swoje bogactwo typów i typków. Maman Liedermeyer, jej córeczka-aktorka, baron Krieg, profesor Spiessburger i jego żona to wszystko figury do skarykaturowania, wygrania i uradowania aktora — tak samo jak niezliczone mniejsze nutki w tym hucznym akordzie. I pod tym względem stanie „Wiosna“ godnie obok swych poprzedniczek. Z rozbawionej Warszawy już o tem słyszeliśmy, dzisiaj przekonamy się sami, jakie zadania przygotował A. Nowaczyński aktorom, a ile uciechy widzom.

Witold Noskowski.

NOWY TOM NOWACZYŃSKIEGO

Świeżo wydana książka autora „Figlików sowizdrzalskich“ nosi tytuł „Pamflety“. Jest to zbiór artykułów, drukowanych uprzednio pō czasopismach; nie wszystkie artykuły odpowiadają swym charakterem nagłówkowi książki; jeśli studjum o Heinem, mimo że dotyczy kwestji „nieaktual-

nej“ nacechowane jest ostrym tonem polemicznym, to już rozdziały, dotyczące Wyspiańskiego, Słowackiego i „Niespodzianki“ Rostworowskiego od pamfletu, biorąc rzeczy po prostu, odbiegają daleko. Może jednak miał rację autor, kładąc akcent na stronę satyryczno-polemiczną swej książki,

bo jeśli nie wszędzie dominuje nuta pamfletowa, to wszędzie jest jednak obecna, a niewątpliwie jej właśnie zawdzięcza książka swoją ostrość, barwę, nerw.

Szeroki jest świat zainteresowań Nowaczyńskiego, ogromna też umiejętność gromadzenia i wyzyskiwania najróżnorodniejszych materiałów, z których ręka artysty buduje gmachy o architekturze niekiedy fantastycznej, a zawsze niezmiernie oryginalnej. W ostatnim tomie wysuwa się na plan pierwszy studjum o Wyspiańskim, zatytułowane nonszalancko „Wyspiander“. Ale niech ta sanfasonerja nikogo nie gorszy; krańcowa tylko zaściankowość domagać się może, aby hołdy oddawane wieszczom miały swym lukrecjowo-nieśmiałym styl m przypominać powinszowania imiennowe. Nowaczyński na wzorowo, na łagodno i na potulno — byłby nie do zniesienia! W tym to wyborzym szkicu wypowiada Nowaczyński uderzająco trafny pogląd na antagonizmy, które, jak świat światem, powstawały między największymi pisarzami, srodze gorsząc ich wierzących parafjan.

„Przypominam sobie jeden zabawny szczegół, tj. entuzjazm Wyspiandra dla pierwszych Weyssenhoffów, nie tylko dla „Podfilipskiego“, ale dla „Dołegi“, dla „Syna marnotrawnego“; nie należy z tego wysnuwać żadnych trywialnych wniosków. Wielcy panowie literatury nie są obowiązani do obligującej wzajemnej adoracji. I jest całkiem w porządku, że Brzozowski nie uznawał Weyssenhoffa, Wyspiański Sienkiewicza, Sienkiewicz Żeromskiego, Zarembasz Przybysza, Weyssenhoff Wyspiańskiego itd. co atoli tak zdumiewa zwykle i epatuje historyków literatury i profesjonalnych krykastratów, domagających się, aby w myśl przykazania: „Dziateczki, miłujcie się!“ wirchy i turnie łamały się we wzajemnych ukłonach.“

Często zarzuca się Nowaczyńskiemu, że na bliźnich nie zostawia suchej nitki.. Ale cóż winien pisarz temu, że pewne tematy, pewni ludzie, sytuacje nastreczają mu zna-

komite pomysły niekiedy groteskowo-karykaturalne? Czyż ma swemu talentowi nałożyć kaganiec i wyrzec się twórczości?

Po tej krótkiej apologji, uprzedzającej zarzuty, z któremi krwista i iskrząca się talentem książka Nowaczyńskiego spotkać się może, powiedzmy słów parę o jej treści.

W „Pamfletach“ znajdujemy artykuły literackie, jak „Ignis ardens“ (o Słowackim), „Sheley pamflecista“, „Ostatnie dzieło Reymonta“, „Niespodzianka“ K. H. Rostrowskiego. Obok tych rozdziały literacko-publicystyczne, wyraźnie już zbliżone do pamfletu, w których zagadnienia czysto literackie, służą jako punkt wyjścia do rozważań społeczno-politycznych, więc: „Czy Horacy był Rzymianinem“, „Nieznany Heine“ i inne. Wreszcie rozdziały historyczne i dwa przepyszne szkice, poświęcone samemu autorowi „Pamfletów“ („Pamflecista“ — wywiad, „Mój pogrzeb“).

Każdy, kto czytywał Nowaczyńskiego (a czytał go chyba każdy), wie doskonale, jak niezwykle wigor posiada jego język, jak się tu wszystko skrzy i kłębi, jak tryskają tu gejzery humoru, ale i nierzadko najautentyczniejsze akcenty patosu. Ów świetny język Nowaczyńskiego ma licznych przeciwników: zarzucają mu, że przeładowany jest cudzoziemszczyzną, że jest zawily, przeciążony dwuznacznikami i grą słów. Mało przekonujące to zasady i dobrze się też dzieje, że ich Nowaczyński do serca nie bierze. Boć każdy, kto ma jakie takie poczucie literackie rozumie świetnie, że wszystkie rzekome wybryki naszego pisarza mają swe głębokie uzasadnienie estetyczne; a dynamika ich świetne daje efekty.

„Pamflety“ Nowaczyńskiego niewątpliwie zyskają sobie bardzo szeroką poczytność, bo nie tylko dają zadowolenie estetyczne i literackie, ale poruszają też szereg zagadnień niezwykle interesujących, a oświetlony w sposób bystry i oryginalny; można się z Nowaczyńskim nie zgadzać, ale nie można go pomijać.

INAUGURACYJNE PRZEDSTAWIENIE W TEATRZE POLSKIM KU CZCI W. BOGUSŁAWSKIEGO

Na otwarcie bieżącego sezonu wystawił „Teatr Polski“ komedję Wojciecha Bogusławskiego „Spazmy modne“ w reżyserji Stanisławy Wysockiej.



„Aktor Wieczny“ Prolog Emila Zegadłowicza na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu w reżyserji St. Wysockiej. Scena zjawienie się pośród zespołu Bogusławskiego w interpretacji Chmielewskiego

Uroczystość poprzedziła inscenizacja prologu napisanego przez Emila Zegadłowicza, a pomyślanego jako hold dla W. Bogusławskiego, twórcy sceny polskiej i aktora wiecznego.

U „BABKI MOHYLOWICZOWEJ“

— PANI ZOFJI WIERZEJSKIEJ

Z p. Zofją Wierzejską, kapitalną babką Mohyłowiczową z Grzymały-Siedleckiego „Maman do wzięcia“ znam się od szeregu lat. Był czas, lat temu z okładem dziewięć przynajmniej, zorganizowano w Poznaniu rodzaj spółdzielni artystycznej pod firmą „Dom Artystów“. Otóż w tej pięknie zamierzanej — a jeszcze szybciej zlikwidowanej — samopomocy wolnych fachów artystycznych, dźwżyła pani Zofja nielada tekę — mianowicie resort finansów. Moznaby powiedzieć: — Minister skarbu w spódnicy. A że nam, młodym, po piórze kolegom Homera (!!) znajomość ze skarbniczką była aż nadto częstą przyjemnością, o tem nikogo nie chcę przekonywać. Wspomnieliśmy o tych pięknych czasach — w przerwie 115 przedstawienia „Maman“, w garderobie Teatru Polskiego.

Właściwa znajomość datowała nie pamiętam od którego tam roku teatralnego na scenie Poznańskiej. Interesował mnie szczególnie problem sztuki aktorskiej, częsta odmiana charakterów — i to co prof. Tenner określa jako artyzm — pewność siebie, w todze czy w kontuszu, w komedji czy tragedji. A widziałem p. Zofję w onczas w dwóch rolach — tak odbiegłych charakterami, maską, grą, epoką, dziełem — a jednakże odtworzone z tą tennerowską pewnością, inteligencją i sprawnością cechującą artystkę o wielkiej skali i rozległym talencie. Z jednej strony królowa matka rusinka w „Bolesławie Śmiałym“ — Wyspiańskiego, epizod wystylizowany przez p. Wierzejską do maksymalnych granic, począwszy od kapitalnej maski wyciętej jakoby z Simlera — z drugiej śmieszna panna Gabrjela w „Dziejach Salonu“ Wroczyńskiego, groteska a raczej replika starej panny z karykatur Kostrzewskiego w starych wydaniach „Kłósów“ czy „Wędrowca“. Analogja wydać się może paradoksalna — lecz podkreślić chcę rozległą skalę talentu naszej poznańskiej Czaplńskiej — jaką bezwątpienia jest p. Zofja.

Ucieszyłem się też bardzo z propozycji napisania wywiadu z p. Wierzejską. Nie jest to rzeczą łatwą — zważywszy że moja interlokutorka wywiadów nie lubi (ja też nie koch. babciu!!). Gwarzymy sobie tedy o starych rzeczach, o nowych, o tem jak to bywało dawniej, kiedy to gażą artyści była honoracja kilku grajcarów. Z za garderoby plotkuje „balowe“ towarzystwo na temat Justjana (czy chciał podwyżkę czy à conto!!) Z dali tercet obrabia „Gdy zakwitną białe bzy“.

— Urodziłam się w roku pańskim. . . .

— Ale nie, nie to p. Zofjo! I tak to nikogo nic nie obchodzi. Mówi przecież gdzieś tam Kornél Makuszyński, że aktorka nigdy się nie starzeje, szybciej odcyfrować swój papyrusów z grobowca Tutankhamena, niżli odgadnąć lata aktorki. Powiedz mi droga pani coś o swej karierze! —

— A więc od 7-go roku życia wychowywałam się na pensji p. Danysz w Poznaniu. Nieprzeparta siła do sceny ujawniła się kilka lat później, kiedym w tymże Teatrze Polskim z rodzicami była obecna na przedstawieniu „Gąsienic“. Pamiętam, że po przedstawieniu poszliśmy do popularnej naonczas cukierni Żuromskiego przy ulicy Bismarka (Kantaka) i tutaj między kawą a tortem postanowiłam zostać aktorką. Na razie jednak trzeba się było uczyć, bo jakże marzyć kobiecie o scenie w Poznaniu dwadzieścia kilka lat temu? Przyszła matura — jazda w szeroki świat. Uniwersytet w Dorpacie — i . . . medycyna . . .

— Czyżby? . . .

— Jak babcię kocham! Zresztą medycyna ze sceną jest dość skoligacona. Od Moliera do Boy'a i od Boy'a do Czesia Ganowicza, autora „Doli“. Tak też ja ukończyłam medycynę w pięknym Dorpacie, dufna, że z chwilą tą będąc samodzielnie nie napotkam przeszkód na drodze artystycznej. Było trochę kwasów rodzinnych, dużo płaczu wujenek i t. d.

kiedym się zapisywała do Szkoły dramatycznej przy Tow. Muzycznym w Warszawie. Wreszcie rok 1908, pierwszy angaż w mieście Łodzi w dyrekcji Zelwerowicza.

Repertuar u Zelwera w większości rosyjski i niemiecki, przytem objazdy niekiedy w daleki głąb Rosji, z doskonałym zespołem (Przybyłko — Junosza — Jaracz i in.) był y dla mnie dobrą szkołą, jak i późniejszy etap pracy: Teatr Mały w War-

— Grałam, a jakże, Czechowa „Wiśniowy sad“ i „Die Kleinstädter“ po niemiecku. Nie było wcale trudno; mimo wspaniałych recenzyj i propozycji tęsknota gnała mnie do kraju i po dłuższych perypetjach ląduję w mieście Łodzi za dyrekcji Stanisławskiego Frączkowskiego, od 1 września 1919 r. w wolnym i opuszczonym przez Niemców Teatrze Wielkim w Poznaniu. Trzymam się od lat dziesięciu w Poznaniu, w mieście, w



szawie pod nieodżałowanej pamięci dyrekcją Kazia Zaleskiego. Wybuch wojny światowej zastał mnie na Lido, dokąd zawiodły mnie wakacje, ściśle mówiąc żyłka podróznicza Kiplingowskiego „trampa“. Powrót, w Wiedniu „spera“. A właśnie w Wiedniu Heller tworzył zespół, (Trapszo — Feldmann i in.) dogrywaliśmy tedy ile starczyło. W trakcie jednego z takich przedstawień zaproponował mi dyrektor niemieckiej „Neue Wiener Bühne“ występy.....

— I?.....

którem poprzysięgłam scenie polskiej, zmieniając lekarski lancet na szczerzy komizm pięknej mowy rodzimej.

— Pyta pan o rolę? Jest ich cała galerja, a trudno zapamiętać chociażby te z dziesięciu lat poznańskich. Postaram się wymienić co ważniejsze: więc w wszystkich komedjach Grzymały-Siedleckiego: „Sublokatorka“ (Mangierowa); „Podatek Majątkowy“ (dama); „Spadkobierca“ (Bitkowska); i najwięcej ulubiona „babka Mohyłowiczowa“ w „Maman“, która bierze publiczność, niemniej mnie, dzisiaj 115 raz. Dalej Jo-

wialska, Modrzycka („Wicek i Wacek“ — Przybylskiego), Siarczyńska („Polityka i Miłość“), Brygida („Gęsi i Gąski“), Agnieszka („Teść“), Wdowa („Ich czworo“), Walentowa („Karykatury“), Katarzyna Cerberus w „Cyganerji Warszawskiej“, w „Darmach i Huzarach“, „Grubych rybach“, „Polityce“ i „Głuszczu“ oto co pamiętam z polskiego repertuaru. Dodać pan może Moliere („Uczone białogłowy“ — Filaminda) obok Baronowej z „Miłość czuwa“, Hortensje w „Pięknej oberzystce“ — Goldoniego, Róże w Sramka „Bądź błogosławione

lato“ ,Jewreinowa „To co najważniejsze“, „Niebieską myszkę“ (Ewelina) a nawet grafinę w operze Czajkowskiego „Dama Piłkowa“ — i tyle innych, których tak trudno zapamiętać.

Minuty uciekają, a zagadaliśmy się, zapominając, że czas już będzie na scenę, bowiem dzwonek i inspicjent alarmują na gwałt. A ja — jak to zwykły ciekawski — słucham i piszę romans prababki nie Wasylewskiego — a babki Mohyłowiczowej, innego nazwiska p. Zofji Wierzejskiej.

Ego.

B O L E S Ł A W T Y L L I A

Po letniej pauzie i urlopie od wywiadów znalazłem się znów w „świecie kulis“ Teatru Wielkiego i korzystając z przerwy w próbach „Blanchefleur“ wylapałem wielce sfatygowanego próbą kapelmistrza B. Tyllię i korzystając z jego uprzejmości wywiadziałem się tyle różnych szczegółów z żywota pracowitego dyrygenta, że wystarczyłoby na wypełnienie całego zeszytu naszego pisma.

Po krótkości zatem jedynie zaznaczę, że kołyska naszego muzyka stała w niebardzo podłym mieście żywnych w taleny i buraki cukrowe Kujaw i że nad tąże kołyską grzmiały tony aż trzech orkiestr — wyrażających radość rodzinnego Strzelna, iż w zacnym domu Tylliów znalazł się następca rodu. Podobno wzruszenie interesowanego było tak wielkie, że z miejsca czynić począł konkurencję owym orkiestrom i postanowił w przyszłości stanąć na ich czele — czego jak widzimy dokonał i nie zawiódł pokładanych w nim nadziei stoł. miasta Strzelna.

— Czy owa rodzinna legenda o muzyczności niemowlęcia ma jaki realny podkład — pytam rzeczowo?

— Owszem — po matce odziedziczyłem wielkie zamiłowanie do muzyki i pewne zdolności, objawiające się od najwcześniejszego dzieciństwa ,gdy dwoma paluszkami wygrywałem na fortepianie tony mazurka Dąbrowskiego, zanim jego tekst zdołałem wymówić.

Pierwsza to zresztą była nielojalność moja względem zaborców, zanim nastąpiły liczne konflikty z niemi na terenie szkoły. Pamiętam mą dziecinną polemikę z jakimś nauczycielem-hakatystą o polskość Kopernika, gdyż w dziecinnej główce nie mogła się pomieścić taka doza perfidji, że ktoś może wogóle kwestjonować polskość „naszego“ nieodwołalnie Kopernika. Kopernika wprowadzie w owej klasie nam nie przyznano, ale za to wpisano małego „buntowczyka“ na czarną listę proskrybowanych.

— W każdym razie miał Pan świadomość swego muzycznego przeznaczenia, czy powołania?

— Świadomość to i miałem, ale brakło pod tę tęczę marzeń o muzyce — granitu — jak powiedział pewien hrabia-poeta — czyli z forszą było źle — a bez floty to i Hupścisk w piętke goni. Mimo to zaryzykowałem wyjazd do Wrocławia i tam zapisałem się do konserwatorium śląskiego.

— Czy ze strony Niemców spotkał się Pan, jako Polak — z trudnościami, animozją?

— Lojalnie muszę wyznać, że raczej ułatwiano mi studia, zwalniając mię od opłat, gdy wykazałem pewne zamiłowanie i postępy! Resztę łątałem jak mogłem lekcjami, pracą przeróżną i wszeleniejaką i dziś — z perspektywy lat kilkunastu zaczynam nawet mile wspominać te czasy i poezją

młodości wydają się owe „Lehrjahre“, po polsku: dni głodu i chłodu. Ostoją w tych ciężkich latach była mi głęboka wiara i religijność, wyniesione z rodzinnego domu i ona nie pozwoliła mi nigdy upaść na duchu; do dzisiaj zachowałem w sercu tę dziecianną ufność w Opatrzność i w chwilach trudnych znajduję ukojenie w słodkim pól-

— Początkowo kształciłem się na pianistę i obiecywałem sobie osiągnąć pewne wirtuozostwo na tym wdzięcznym i ukochanym od młodości instrumencie. Losy chciały jednak inaczej, bo oto z powodu infekcji i grożącej gangreny musiałem poddać się operacji palca i zaniechać klawiszy, które, mimo zawodu sprawionego im —



Fot. Atelier Rubens

mroku kaplicy Serca Jezusowego w Tumie naszym.

Miłe takie przeświadczenie, że zawdzięcza się wszystko, zwłaszcza wykształcenie — własnym jedynie siłom i woli i własnemu pędowi wzwyż — dodaję — by rozwiać melancholję człowieka, co miał ambicję pozostać muzykiem w Polsce...

— A w jakim kierunku szły pańskie studia w konserwatorium?

uśmiechają się do mnie nadal przyjaźnie. Po tym wypadku przerzuciłem się na kurs dyrygentów i jak pan widzi wierny jestem memu przeznaczeniu — jak dotąd...

— Kiedy pan opuścił Wrocław?

— Na pierwszą wieść, że „polskie bandy napadają na spokojną ludność Niemców w Poznańskim“ — wstąpiłem w zaszczytną eszeregę tych „band“ — a po przewrocie, w początkach 1919 r. zaciągnąłem się

pod regularne chorągwie wyśnionej armji polskiej, jako ochotnik. Potem, w momencie tworzenia się opery polskiej w Poznaniu znalazłem się w jej składzie i trwam na tym posterunku bez przerwy i wyrwy z kilku komilitonami niezłomnymi, których nazwiska są równocześnie kartami dziejów poznańskiej opery. Druhowie ci — to pp. Wojciechowski, Urbanowicz, Zaleski Ed. Borys, i jedna reprezentantka płci piękną p. Majchrzakówna.

— A praca, jako dyrygenta, nie nuży zbyt Pana?

— Praca w naszym zawodzie jest istotnie bardzo ciężka i wyczerpująca siły. Jedynie wielki zapal i umiłowanie muzyki dodać może skrzydeł, pozwalających wznieść się ponad utyskiwania i zniechęcanie do codziennego trudu. Dla mnie specjalnie warunki tutejsze są miłe — bo pracuję z tym zespołem orkiestralnym od jedenastu lat i łączą nas stosunki najlepszego koleżeństwa i przyjaźni i czuję się istotnie jak u siebie.

— A poziom zespołu orkiestralnego?

— Żeby nie mówić „pro domo sua“ — wolę powołać się na opinię wybitnego dyrygenta zagranicznego, Abendrotha, który nie miał słów pochwał dla naszej orkiestry, kiedy dyrygował nią w Poznaniu na koncercie symfonicznym. — Żeby tylko zdrowie dopisywało, bo właśnie wróciłem z dłuższej kuracji.

— Czyżby z Riwery, czy zgoła z pod piramid i z nad Nilu?

— Pod piramidy wyjeżdżam dość często z Aidą, ale nie w celach sanatoryjnych. . . . Tym razem także w krajowym uzdrowisku remontowałem swój organizm pod pieczołowitą opieką zacnego Dyrektora sanatorium pod Obornikami, Dra Jankowskiego. Nie wiem czy jego ojcowska opieka, czy też jego wiara w zdrowotność ojczywego klimatu — działały cuda i wróciłem odrodzony.

— Reszty dokona pańskie zamilowanie sportowe, znane na terenie kortów tenisowych, jeżdżalni i areny samochodowej.

— Radaby dusza do raju! Istotnie — mam nawet egzamin szoferski — a brakuje mi tylko auta! Miałem wprawdzie kiedyś, jakiś klekot, którego pozbyłem się w chwili złudzenia, że doczekam się lepszego.

— Drogi dochodów stoją przed młodym człowiekiem narozcież otworem — powiadam: Niech Pan napisze operetkę polską, rdzennie naszą, by szła 150 razy, jak „Maman do wzięcia“ — np. „Córeczka nie do wzięcia“ — a wtedy rozglądniemy się po firmach co przedniejszych — dodają otuchy automobiliście honoris causa.

— Uważam pańskie słowa za dobry omen w podobnych istotnie zamiarach moich w godnej spółce z kol. Bratkiewiczem. Może coś z tego będzie, choć nie tak rychło. Pragniemy oprzeć tekst naszej operetki o jedną ze współczesnych komedji, aktualną w temacie.

— A dlaczego Pan nie wydaje swych kompozycyji muzycznych, które rdzewieją w tece?

— Oprócz talentu trzeba mieć w Polsce swego Mortkowicza-wydawcę, by się przejrzeć w zwierciadle radości autorskiej. Na razie niema pośpiechu. Wolałbym napisać coś w rodzaju pamiętnika, z zakulisowego życia naszej muzy operowej; temat mię bardzo pociąga swą rozległością a zachęca znajomością z terenem akcji i z akcjami terenu.

— A jakież Pan ma plany na dalszą przyszłość — dziś — a kwiecie lat swoich?

— Jakież tam nadzieje otwierają się na wyjazd do Rzymu, do królewskiej opery, drogą pewnych znajomości i stosunków, o ile szowinizm czarnych Włochów nie przekreśli tych nadziei. . . .

— Istotnie, trudno Panu robić z siebie czarnokędziornego Rzymianina, gdy błękit północy wymalował w oczach Pana tyle polskiej melancholji. A jak Pan zaawansował się we włoszczyźnie?

— Umiem tyle po włosku, ile potrzeba włoszczyzny dyrygentowi włoskiej orkiestry. Oprócz tego lubię kalafiorę, selery, pory — a najbardziej flaszkę dobrego wina włoskiego.

H. Szczerbic.

PLANY OPEROWE I ICH REALIZACJE W TEATRZE WIELKIM

Polski zespół Opery Poznańskiej w ciągu dziesięcioletniej pracy zrealizował bardzo różnorodny ale i bardzo wartościowy repertuar, który może przy okazji warto by bliżej rozpatrzyć, aby właśnie z punktu widzenia jego wagi artystycznej zastanowić się nad t. zw. żelaznym repertuarem, który obowiązuje w całym świecie, który jednak musi nieco odmiennie wyglądać n. p. na scenie niemieckiej niż na scenie polskiej, bo rodzima twórczość nadaje tu koloryt własny. Celem takiej statystyki byłoby podkreślenie tych dzieł, które powinny nie schodzić z atysza z racji ich wybitnej wartości czy też szczególnego lokalnego powodzenia, aby wreszcie repertuar był nie tylko urozmaicony ale i zwierciadłem najlepszych wysiłków artystycznych zespołu.

Dyr. Wojciechowski, mając te względy na uwadze, postanowił obok nowości operowych (o których wiemy, że są i będą jeszcze bardziej ciekawe) przypomnieć cały szereg wybitnych zdobyczy dawnego repertuaru, w czym mu walną pomocą jest umiejętnie dobrany i skompletowany zespół w nowym sezonie. Więc „Eros i Psyche“ i „Jenufa“, ulubione opery d'Alberta „Niziny“ i „Zamarłe oczy“ oraz szereg innych, których kolejność wznowień nie jest jeszcze ustalona, wróć starannie odświeżone na naszą scenę a tymczasem nie ustaje praca nad inscenizacją zapowiadanych nowości. Najbliższymi premierami będą: Donizetti'ego „Lucja z Lammermoor“ i Różyckiego „Casanova“. Obie opery znajdują się już na warsztacie premierowym a przygotowania postąpiły tak daleko, że z niestrudżonym zapalem podkłada się już fundamenty pod dalszą premierę, którą będzie niezwykle efektowny „Somson i Dalila“. Że w toku tych prac znaleźć się musi czas

na przygotowanie nowości operetkowej, rozumie się samo przez się, więc tym sposobem zobaczymy niebawem sympatyczną operetkę „Krysię Leśniczankę“. Ale i na znacznie większe imprezy, jak na wznowienie od pięciu lat niegranej, popularnej „Blanchefleur“ Kienzla starczyło czasu, mianowicie w chwili lekkiego „odsapnięcia“ po trzech premierach dotychczasowego 2^{1/2} miesięcznego sezonu.

Opera ta, odznaczająca się wyjątkowo efektowną akcją sceniczną, zręcznie i zwięźle ujętą, podobała się w swoim czasie bardzo. Obecnie dzięki gościnie znakomitego naszego tenora Józefa Wolińskiego dawna popisowa obsada dała się utrzymać. Obok bowiem partji Primusa w interpretacji Wolińskiego, rola tytułowa przypadła ponownie p. Zofji Fedyczkowskiej, stwarzającej w „Blanchefleur“ jedną z swoich na wskroś indywidualnych a skończeniowych kreacji. Jeżeli opera Kienzla nie wytrzymuje porównania jako dzieło muzyczno-dramatyczne z arcydziełami Verdi'ego, Puccini'ego czy Wagnera, to jednak ujmuje widza i słuchacza niezwykle sympatycznie bezpretensjonalną tendencją kompozytora do wyrazistego naskikowania nastroju poszczególnych scen, które dzięki swym silnym kontrastom zajmują publiczność a trafnością charakterystyki przekonują. Nie ulega jednak wątpliwości, że od aktorskiej i wokalnejskiej doskonałości dwóch naczelných kreacji opery zależy siła uczuciowego oddziaływania tej nieco na zewnętrzny efekt obliczonej akcji. Że Blanchefleur i Primus Thaler w interpretacji Fedyczkowskiej i Wolińskiego właściwą treść opery zgłębili i zrozumieli, o tem najlepiej świadczy powodzenie, jakim się w partjach tych cieszą i które od nich rozciąga się też na całą operę.

Z. L.

Z G Ł O S Ó W P R A S Y

O NASZYCH PREMJerACH

TEATR POLSKI: „Aktor wieczny“, prolog Emila Zegadłowicza; „Spazmy modne“, komedia w trzech aktach Wojciecha Bogusławskiego. Uroczyste przedstawienie ku czci Wojciecha Bogusławskiego. Reżyser: Stanisława Wysocka. Wykonawcy prologu pp.: Biesiadecki, Chmielewski, Czajkowski, Konradt, Kwaskowski. Wykonawcy „Spazmów“ pp.: Grabowska, Podborówna, Zasempianka, Biesiadecki, Czajkowski, Godlewski, Konradt, Komornicki, Kwaskowski, Nowacki.

Ten, komu by się wydawało, że nasze dancin-gowe czasy są nazbyt rozflirtowane, skorzysta niemało na zaznojomieniu się z epoką Bogusławskiego. Stosunki są wcale miłe. Hrabina, młodzianka mężatka, bałamuci narzeczonego swojej siostry. Siostra wywdzięcza się jej bałamuceniem męża. Jedna wyszła za mąż po to, aby mieć swobodę do romansów, druga zamierza wydać się właśnie w tym samym celu, chociaż wie, że przyszedł mąż ma na oku tylko jej poag. „Najszcześniejsze na świecie będzie nasze życie — wróży sobie miłutka Lukrecja. — On mnie nie kocha, ja go cierpieć nie mogę. Czy może być lepiej dobrane małżeństwo?“

Tak samo proste są dalsze tej przedsiębiorczej panny, która Hrabieemu tak określa w przerwach między całusami: „Dopomagać będę Twojej żonie do jej miłostek z moim mężem, ażeby tem zwrócić baczną jego w inną stronę i mieć prawo oddania mu wet za wet. Tym sposobem pan mąż nie będzie mi nigdy na karku siedział, a ja swobodnie młodość moją przepędzę.“ Ależ to jakby się słyszało jaką kusą spódniczkę ze sztuki Perzyńskiego! Wynika stąd, że nasze prababcie także umiały sobie życie urządzać i w tem się niewiele zmieniło. Za to zaszła inna i bardzo bolesna zmiana. Mianowicie świat Bogusławskiego, to rojowisko bogatych trutniów, którzy żyją z odziedziczonych majątków albo z posagów żon. Jesteśmy w błogich czasach pańszczyzny, więc podział pracy przedstawia się tak, że próżniacy i lafiryndy, piją i romansują, a chłop na nich robi. Takiej Arkadii dzisiaj już niema. Wszyscy muszą pracować, chociaż troszkę, nawet ludzie bogaci. Pod tym względem stosunki żałośnie się pogorszyły.

Co do samych spazmów, którym zawdzięczamy komedię Bogusławskiego, to najtrudniej nam dzisiaj zrozumieć, jak mężczyźni mogli brać na serjo te wszystkie omdlenia, „drżenia serca“, „wapory“ i towarzyszące im piski? Wie-

dzieli przecież, że w pewnych okolicznościach każda kobieta dostaje tej choroby z regularnością zegarka. Prawdopodobnie musieli mieć jakiś interes w udawaniu, że temu wierzą. Jaki? Nie warta dociekać, skoro sama metoda została przez kobiety zarzucona i całkiem słusznie. Były to wyczyny fatygujące, a dzisiaj kończyłyby się nie nową suknią albo broszą, ale sprowadzeniem lekarza i przepłukaniem żołądka albo czemś jeszcze prozaiczniejszym. Tu zaszła duża zmiana.

Zresztą podobnie leczy Hrabinę doktor Mizantropski, doradzając mężowi, aby wziął jejmość krótko, pieniędzy nie dawał a na spazmy nie zwracał uwagi. Inna rzecz, że nie bardzo chce się nam wierzyć, aby to lekarstwo tak szybko poskutkowało u tamtych rozkapryszonych i zepsutych laleczek. Jest ono istnym bożkiem z maszyny i tylko mechanicznie a nie psychologicznie sztukę rozwiązuje. Po tym moralnym, ale nieprawdopodobnym końcu poznajemy, iż we wstępie do „Spazmów“ mówi Bogusławski prawdę, gdy opowiada czemu właściwie je napisał. Szło mu nie tyle o studjum obyczajowe, ile o popisową rolę dla młodej aktorki, którą przypadkiem złapał na świetnym udawaniu ataków nerwowych Osóbka ta miała kochanka, stosowała do niego metodę spazmów, dyrektor Bogusławski zeszedł ją raz na takiej scenie i jako człowiek teatru natychmiast tę komedię ze świetnym efektem zużył. Aktoreczka, wprawdzie młoda i wdzięczna, ale zdawałoby się zupełna krowienta, odniosła triumf i wypromowała się na gwiazdę, a my także dobrześmy na tem wyszli, bo dowiedzieliśmy się, jak w tamtych „dawnych dobrych czasach“ bywało.

Warto posłuchać czcigodnego pułkownika Zdawnialskiego, szlagona starej daty, jak wyrzeka na ówczesne obyczaje. „Jakie rozpustne mowy przy stole — piorunuje pocziwy starszek — jakie chichotanie i wrzaski nieprzyzwolite. Cała rozmowa o strojath, o intrygach miłosnych. A w kobietach co za rozwiązłość, co za bezwstyd w ubiorach! Wszystkie wygorsovane, obnażone, zda się, że ledwo połowę ciała przykrytego mają“ A jak się malowały! „Czy potrzebny ci ten róż na twarzy, pod którym wyglądasz jak upiór? albo te perfumy, dla których przystąpić do Ciebie nie można, bo się głowa zawraca. O nieba, co za bezwstydność! Widziano kiedy podobne zepsucie płci żeńskiej?“ Cóż innego mógłby dzisiaj powiedzieć

„rezoner“ jakiej współczesnej komedji, gdyby rezonerzy byli jeszcze w modzie: Nasze pomadki do ust, flirty, róże, golizny — wszystko to już było przed półtora wiekiem; nie wymyśliłiśmy nic nowego. I niechże tu kto mówi o postępie ludzkości!

Do reszty nas dobija zacny pułkownik, gdy zaczyna dobierać się do małżeństwa od strony prawniczej. Odrazu gotów wszystkich rozwodzić. Hrabina oszukuje go, że Hrabia wszystkiemu winien. Dobrze, jest na to sposób: „Ponieważ nie macie potomstwa ze sobą, postaram

Przez te zestawienia są „Spazmy“ zabawne i aktualne. Mówi się, że publiczność nie lubi „starzyzny“ i że obyczaje dawne jej nie ciekawią. Jeżeli tak, to patrzymy na praszczurów a myślimy o sobie i wszystko będzie tak, jakby chciał mieć Zegadłowicz, który w prologu sła wi teatr jako zwierciadło obyczajów i przepowiada mu odrodzenie, jeżeli scena znów zacznie dawać obraz życia współczesnego. Mocne i miłe wrażenie ten prolog zostawia. Jest w nim rozumna debata o teatrze, jest ładny sentyment dla aktora, a także hołd dla Bogusławskiego



Bogusławskiego: „Spazmy Modne“ w Teatrze Polskim

się o rozwód.“ Nic prostszego „Teresię moją wydam za kogo innego i będzie szczęśliwą“. A to ładny przedstawiciel staropolskich cnót rodzinnych! Jakie są te nasze czasy, takie są, ale prawdziwie staromodny wujaszek nie byłby dzisiaj takim doradcą oszukańczych rozwodów. No! znaleźliśmy coś, w czym nasza epoka jest przecież trochę lepsza od tej dawnej, dobrej, przez co rachunek wypada na naszą korzyść. Poczujemy się, że chociaż młodzi zostali takimi szalapatami, jak byli za Bogusławskiego, ale za to starzy się umoralnili. Dobre i to.

głęboki, a bez patoczu składany. Rzadko tak się udają utwory okolicznościowe, ale też rzadko kiedy mówi przez nie tak żywo myśl i serce poety.

Rozgrywają się „Spazmy“ w skonstruowanym przez p. Jarockiego wnętrzu o typie teatru z ośmnastego stulecia: tło, otwarte kulisy boczne, parę mebelków, wszystko w najlepszym guście. Zespołem naszym można się uradować, taki jest sprawny i z takim humorem wygrywa doskonale przeważnie role. Przybyło dwóch nowych aktorów. Na razie można powiedzieć,

że p. Kwaskowski śmieje się szczerze i zaraźliwie, a mniej zabawnie się upija, p. Komarnicki ma wyrazistą sylwetę, żywe oczy i mówi donośnie. Najmocniejsze miejsca za mało dociskał, ale może to tylko zakłopotanie nową publicznością lub obawa przed przesadą — jedno i drugie łatwe do uleczenia. Stary pułkownik musi od czasu do czasu skrzyknąć rozpustną młodzież, tak jak przed frontem beształ swoich dragonów, potem się rozczuli i wszystko będzie dobrze.

Witold Noskowski.

(Kurjer Pozn. 2. 10 29. No. 455.)

TEATR WIELKI: „Hrabina Marica“, operetka Kalmana. — Premjera. —

Dobrze skonstruowane libretto, nie pozbawione wielu ciekawych pobocznych sytuacji, a nie przekraczające charakteru właściwego — jest kanwą, na której talent Emeryka Kalmana roztoczył barwne kompozytorskie wzory, bogate w szczerą inwencję niejednokrotnie szeroko pomysłanych linii melodyjnych. „Marica“ tem się różni od innych operetek, a wielu utworów tegoż kompozytora, że jest najbardziej skupioną pod względem bogactwa pomysłów muzycznych, nie rzuconych przytem dorywczo bez jakiegoś wewnętrznego wiązadła, lecz mających silne spoidło, czerpiące swe źródło z twórczej natury Kalmana, o rytmach kompozytorskich bynajmniej nie banalnych. Ta szczerść, naturalność inwencji dyskretnej, nie wpadającej w ton banalnych pospolitych formułek, przepojona wielkim smakiem i umiarem artystycznym o delikatnym instrumentacyjnym podłożu — czynią, iż utwór posiada wiele świeżości i barwności o żywym, iście węgierskim, zacięciu. Zwłaszcza akt pierwszy pod tym względem jest najbardziej jednolity i czyni najkorzystniejsze wrażenie.

Realizacja tej perły operetek — pierwszorzędną. Jeszcze Teatr Wielki w Poznaniu ani razu nie zdobył się na tak wykończone w najdrobniejszych szczegółach, a w ogólnej linii z wielką sumiennością i dbałością przeprowadzone, wystawienie utworu lżejszego repertuaru. Brak właściwego personelu operetkowego był wielką dotychczas przeszkodą. Posiadanie obecnie prawdziwej divy operetkowej w osobie p. Meli Grabowskiej ułatwia znacznie sytuację. Bo też p. Grabowska ma tyle wdzięku, zacięcia, powabu, miękkości w ruchach i ogólnej linii, oraz dobre wokalne warunki i umie się przytem z tak dobrym gustem ubrać — że nic dziwnego, że i otoczenie całe jest jakby odświeżone i nabiera jakiejś innej fizjonomji.

A że i p. Raczkowski wnosi z sobą na scenę wiele cennych walorów artystycznych, dużo szczerości i prostoty wyrazu aktorskiego — więc w połączeniu z widoczną wzmoczoną energią znanych już nam dotychczasowych sił operetkowych — całość wypadła więcej niż dobrze, dając słuchaczom wiele artystycznego zadowolenia.

Na podkreślenie zasługuje reżyserja p. Sendeckiego, odbiegająca od szablonu i dająca zakrój szerszego rozmachu, co na tle pięnych dekoracyj p. Jarockiego stworzyło nad wyraz harmonijną całość. Tylko wyfraczeni panowie w akcie drugim rażą nieumiejętnością posuwania się na scenie i brakiem elementarnych zasad elegancji. Sytuacja ta wymaga koniecznie rewizji.

Kierownictwo muzyczne spoczywało w rękach p. Jarosława Leszczyńskiego, któremu szczerze można przyklasnąć za tak sumienne, w szczegółach wykończone, opracowanie partji orkiestralno-chóralnej. Gdy jeszcze w miarę większego zgrania się żywość niektórych poszczególnych momentów nabierze koniecznej, a wypływającej z „węgierskiej“ zamaszystości, jaskrawości i napięcia — całość stanie się bez zarzutu.

„Hrabina Marica“ — to nowy sukces obecnej dyrekcji. Oby poszło tak dalej.

W. Brzostowski.

(Gaz. Zach. a8, 10, 29, No. 205)

* * *

Teatr Wielki w Poznaniu pod nowem artystycznym kierownictwem dyr. Zygmunta Wojciechowskiego zdotbywa jeden sukces po drugim.

Świeżo jest do zanotowania rewelacyjne wprost powodzenie pierwszej w sezonie premjery operetkowej, mianowicie rozgłosnej i rekordowej „Hrabiny Maricy“ Kalmana, której walory muzyczne i efektowne libretto znane są powszechnie i w zupełności tłumaczą niebywałą popularność pięknej tej operetki. O poznańskiej inscenizacji „Maricy“ powiedzieć trzeba, że przeszła ona wszelkie oczekiwania i dowiodła odrazu, że nowa dyrekcja postanowiła traktować repertuar operetkowy z tą artystyczną pieczołowitością, jakiej mu dotychczas nie zawsze dostawało.

„Hrabina Marica“ na scenie poznańskiej to przedewszystkiem kreacja znakomitej primadonny p. Meli Grabowskiej, której piękny głos i wyborna gra, przy ogromnej sumie wdzięku i gustu (w doborze toalet) nadają przedstawieniu właściwą barwę i ruch. Przy takim asie operetki, drugi atut: reżyserja p. Sendeckiego, któremu udało się zmontować całość niezwykle precyzyjnie i efektownie, tak że każdy szcze-

gół przedstawienia był interesujący i dawał widzowi wiele urozmaicenia. W głównych rolach oklaskiwano rześkie pełną werwy p. Fontanównę (Lizę) i jej partnera p. Sendeckiego (Zupan), a w trzecim akcie kapitalny epizod p. Bratkiewicza (Penizek). Niezwykle obiecująco przedstawił się i główny amant p. Raczkowski, który przeskok z opery do operetki wykonał z dużym dla siebie sukcesem. Doskonale wa-

tak samo prasa, podkreślając z całym uznaniem nowy sukces dyrekcji.

(„Ilustrowany Kurjer Krakowski“).

TEATR POLSKI: „Para nie para“, komedia w trzech aktach Zygmunta Kaweckiego. Reżyserja: Nuna Młodziejowska - Szczurkiewiczowa.

(Z pośród licznych a rozbieżnych recenzyj



„Hrabina Marica“ w Teatrze Wielkim (M. Grabowska i Sendecki)

runki zewnętrzne i dobry głos młodego artysty rokują mu nieprzeciętną karierę w operetce.

Do wysokiego poziomu muzycznego przedstawienia przyczyniło się poważnie sumienne wystudjowanie operetki przez kapelmistrza p. Leszczyńskiego. Że zaś i oko miało swoją ucztę, o to postarał się p. Jarocki, komponując ładne dekoracje i barwne kostjumy.

Nie zaniedbano więc niczego, aby całość wypadła jak najefektowniej, to też uznanie tłumnie na premierze zebranej publiczności było niezwykle serdeczne, w który to ton uderzyła

z tej komedji, umieszczamy poniżej recenzję A. Siedleckiego po premierze warszawskiej).

Teren eksploatacyjny, z którego komedjopisarstwo polskie w ostatnich dziesięciu latach czerpało swój budulec, z którego brało swoje tematy — robi czasem wrażenie... pastwiska. Błonie, na którym się pasie bydelko boże, od baranów począwszy, na wilkach-baranożercach skończywszy. Jeśli ta klientela polskiej powojennej komedji — ma jakie cechy ludzkie, to jedynie takie, jakie jej już w antyku użyczyły bajki Ezopa.

Na tym to terenie stanowisko Kaweckiego z „furą słomy“, z „ludzi tymczasowych“, z „Poczekalni klasy pierwszej“, miało swój własny koloryt. Oczywiście i na niem pasły się przeważnie konie, klempy etc... — ale stadko Kaweckiego było jakieś młodsze od innych stad, może czasem jeszcze mniej odpowiedzialne od ezopowego osielstwa czy ezopowej wilczarni bohaterów innego „akiegoś“ autora, ale i radośniejsze, w biegu zgrabniejsze, miłsze. Jałowiczki i źrebce. Nie zawsze wiadomo, dokąd polecą, gdy raz ruszy z miejsca, ale zawsze prawie w ruchu wdzięczne.

Wraz z najnowszą komedią Kaweckiego, z „Parą nie parą“, coś jakby się chciało zmienić na poletku jego figur. Jużci ten świat pań Zu i Dziabdź, Len, Ławia-Bawińskich, panów Toto etc., jak już sama fonetyka ich nazw wskazuje ten świat po pas tkwi jeszcze w człowieczeństwie Ezopowem li tylko. Ale równocześnie powstaje w nich tęsknota: czyżby nie spróbować zacząć chodzić dwoma li tylko nogami? Stanąc pionem do ziemi i wziąć pozycję prawdziwych ludzi, pozycję której najgłówniejszym atrybutem może jest, że z niej można oczami widzieć i to, co ponad nami... Gdy, jak u zwierzęcia, grzbiet równoległy do ziemi, widzi się tylko, co przed nami, co jadalne i rozmnażalne...

W światku „Pary nie pary“ ta ambicja ludzkiej pionowości przychodzi do głosu za sprawą serca. Jest sobie takie małżeństwo „pan Semilski i pani Zu. Wydawało im się, czy im się nie wydawało, że się kochają, więc pobrali się, czyli zesunęli łóżka. Ani przypuszczają, by jakiś inny sens mógł łączyć dwoje ludzi. Ale ten zu-semilski sens ma to do siebie, że jest jak list, na którym zmysły wypisują coraz to nowe adresy... Raz mąż, drugi raz może właśnie pan Tot... Raz żona, kiedyindziej pani Ina, czy panna Lena... No i rozchodzą się, bo jego nie tyle serce ile ambicja urażona jest wykryciem niejakiego pana Toto...

I okazuje się, sprawdza się na nich, co miljardy razy sprawdzało się już na świecie, że miłość najlepszym jest adwokatem Miłość obroni jej winy przed nim, jego grzechy przed nią. Takie argumenty znajdzie niewiadomo skąd, takie jej przyplyną siły przekonania, takim darem wymowy zabłyśnie, choć to tylko łaza błysnęła w jej i jego oku.

Sceptyczna przeczność podsuwa w tem miejscu Kaweckiemu ostrzeżenie: miłość czy siła przyzwyczajeni? Podzieli się w finalnej scenie z nami tą wątpliwością, ale wątpliwością, pomieszaną z wiarą. Z wiarą w lepsze, duchowe strony człowieka... Ten wzrok, z pionowej pozycji rzucony w górę ponad siebie.

Oczywiście mógłbym tu teraz zacząć się mądrzyć nad aktorem, cały artykuł wypisać, jakie są błędy w sztuce i w figurach, czego brakuje, czego za dużo, co by trzeba było skreślić, czem co wzmocnić. Nie przepadam za belferką, wolę momenty rekreacji, wolę mieć swoją radość, że repertuarowi polskiemu przybyła sztuka polotna, miła, optymistyczna, że się jej słucha z przyjemnością, że niczem nie irytuje, że parska wesołością, że wyrosła z przeświadczenia, iż tylko umieć patrzeć, a świat jest różowy i że tylko umieć świat widzieć na różowo, a zachować się młodość.

Jest też jakieś szkliwo bezwiedniej poezji, na całość sztuki nałożone; niosą tę parę nie parę jakieś skrzydła ujmującego lekkoduchstwa, przewija się ruch ręki gracza, który wygrywa, bo mu wszystko jedno: przegra czy wygra — i za to go bogi i losy kochają. Czasem bieg sztuki kołuje, kluczy, czasem chciałoby się skrótów i retuszu, ale równocześnie w tym samym tekście znajdzie się naraz choćby ta tyradka o wielkich godzinach i drobnych sekundach życia, tyradka, której by się Musset nie powstydział.

Adam Grzymała-Siedlecki.

TREŚĆ ZESZYTU 18-GO: Wyspiański: Teatr. — W. Noskowski: Nowaczyński i aktorzy — L. Skiński: Nowy tom Nowaczyńskiego. — Ego: Zofja Wierzejska. — H. Szczerbic: Bol. Tyllia — Z. L.: Plany operowe i ich realizacja w Teatrze Wielkim. — Z głosów prasy o naszych premierach.

Druk ukończono 23 października 1929

Adres Redakcji: Sekretariat Teatru Polskiego w Poznaniu. — Redaktor Emil Zegadłowicz
Sekretarz Redakcji: prof. Henryk Szczerbowski.

CENY OGŁOSZEŃ:	1/1 str.	1/2 str.	1/4 str.
za tekstem	150.—	80.—	45.—
II i IV okładka	200.—	110.—	60.—
III okładka	180.—	100.—	55.—

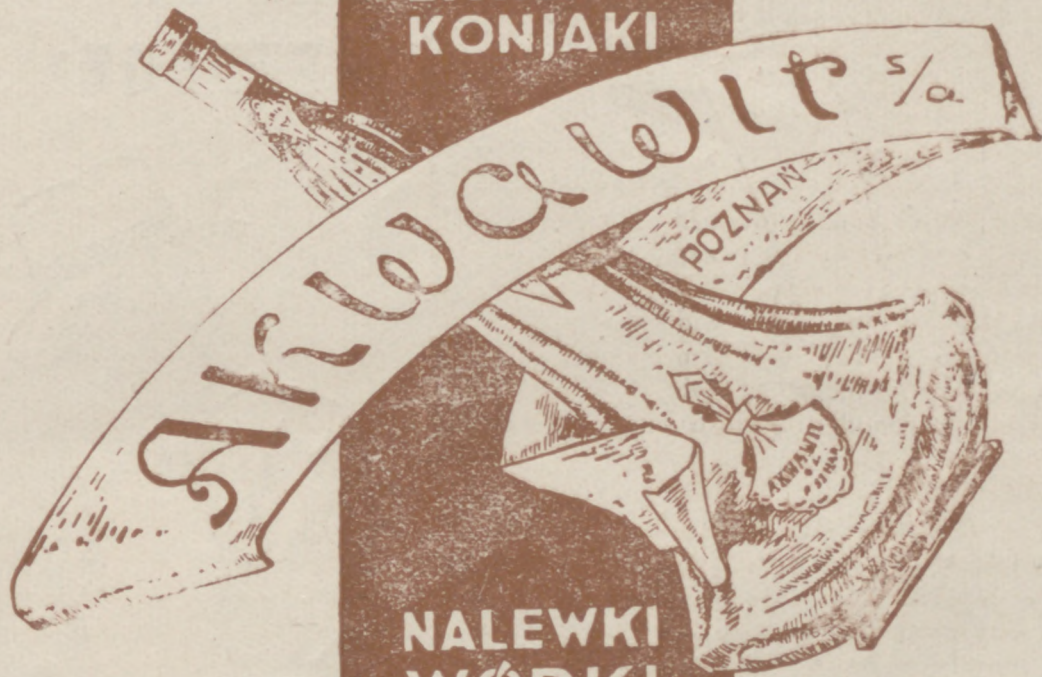
Napój zdrowotny



dla kobiet
dzieci

rekonwalescentów
i słabowitych

LIKIERY
KONJAKI



NALEWKI
WÓDKI

BRACIA SCHRAMEK - CIESZYN

Fabryka wafli, keksów i biszkoptów

poleca swe wyroby znane z niedoścignionej dobroci

Przedstawiciel na Poznań i Pomorze:

JÓZEF KUCHARCZYK - BYDGOSZCZ, ULICA KORDECKIEGO 4.

PIĘKNE z POŻYTECZNYM

ŁĄCZA W SOBIE

BUTY
ŚNIEGOWCE
KALOSZE

◀ PEPEGE ▶



MARKA FABR.

◀ PEPEGE ▶